

Od autora: Akcja opowiadania została oparta na moich snach; pozwoliłam sobie na zmianę paru ich elementów.

Ostrzeżenie o zawartości: wypadek drogowy, pobyt w szpitalu, śmierć członka rodziny.

Tekst zawiera pospolite przekleństwa.

W tekście pada nazwa popularnego leku; nie jest to reklama sama w sobie, lecz nawiązanie do treści reklam tego produktu.

Autobus mijał przydrożne drzewa. Dwudziestu pasażerów patrzyło przed siebie lub przez okno. Mała miejscowość przywitała pojazd szarymi domkami z ciemnym dachem.

Wsiadła młoda kobieta o brązowych włosach sięgających brody, krótkich ustach i niebieskich oczach z szarą plamą na prawej tęczówce niczym sierp księżycy.

- Studencki, proszę.

- Dwadzieścia jeden złotych.

Pasażerka usiadła w drugim rzędzie, naprzeciw wejścia. Schowała bilet do napakowanej torby. Wzięła dwie kostki gumy do żucia. Sprawdziła godzinę na zegarku. Zamknęła oczy. Czuła siłę lekko wypychającą ją w fotel. Słyszała audycję radiową, jednak nie zawsze rozróżniała słowa wypowiedziane przez reporterkę. Nie myślała o niczym szczególnym, tylko przypadkowe pomysły czy wizje same przesuwały się po jej umyśle jakby na taśmociągu.

Wracła na studia. Bagaż pod fotelami. Torba na kolanach. Wracła do miasta. Lekko i spokojnie.

- Jezus, Maria!

To był głos kierowcy. Nagłe szarpnięcie w prawo przeraziło pasażerów i wybudziło studentkę.

Autobus zamienił się dla niej w atrakcję w wesołym miasteczku. Z jedną różnicą: w wesołym miasteczku są zabezpieczenia; autobus wprawdzie posiadał pasy, ale tylko dla pierwszego rzędu, reszta siedzeń miała tylko zapięcia.

Pasażerowie unieśli się z siedzeń. Czy raczej wypadli z nich.

...

- Pani Omawska?

...

- Pani Omawska, ja wiem, że raz już pani zaliczyła liceum, ale proszę współpracować.

Liceum?

Odzyskała wzrok. Sala wypełniona rozmazanymi, obcymi twarzami. Tablica kredowa z tematem: "Politycy w fikcji". Nauczycielka, która wprawdzie miała twarz, ale nie przypominała nikogo, kogo znałaby Omawska.

Rozejrzała się. Znajome portrety pisarzy; gazetka naścienna o kampanii wrześniowej; fiołki w doniczkach. Zgadza się: sala do lekcji języka polskiego.

- Przepraszam panią. Nie czuję się najlepiej.

Standardowe kłamstwo, ale to był jedyny pomysł, na jaki wpadła.

- Pani Łylrymyg, odprowadzi pani Omawską do pielęgniarki.

Jaka?!

Uczennica z rozmazaną twarzą wstała i stanęła obok Omawskiej.

Opuściły salę. Korytarz, co zaskoczyło kobietę, nie zdobyły żadne fotografie ni reprodukcje obrazów.

- Gdzie są zdjęcia? - Zapytała. - Pamiętam, że tu było "Babie lato", tam wisiał...

- Nie było tu nigdy zdjęć ani obrazów. Coś ci się pomyliło, Omawska.

- Mów mi Beata.

Skręciły w prawo i zeszły po schodach z ostatniego piętra. Półpiętro. Gazetka, której treści Beata nie mogła odczytać. Kolejne schody i... *parter? Już? Gdzie pierwsze piętro?*

- Co... tu się dzieje...?

- Nic się nie dzieje. Mówili, że chmury będą. A co?

- Ta szkoła... Zupełnie nie pasuje do szkoły, którą pamiętam.

- Lepiej nie mów tego nauczycielom.

- Bo...?

- Bo cię wsadzą. Teraz w lewo.

Wzdłuż korytarza.

- Gdzie mnie wsadzą? Co?...?

- Omawska, uspokój się. Nie chcesz narobić kłopotów nauczycielom, którzy tu pracują, prawda?

Doszły do sali numer sześć.

- Zaraz... **Tu** jest pielęgniarka?

- Tak.

- Za "moich czasów" były tu podstawy przedsiębiorczości.

- Bywa. Wchodzisz czy nie?

Weszła bez pukania.

Pielęgniarka przywitał Beatę ciepłym uśmiechem, który widziała mimo rozmytej twarzy.

- Pani Beata Omawska, tak?

- Skąd pan wie? Co tu się dzieje? Mam chorobę oczu? Omamy? Nie rozumiem, dlaczego ta szkoła wygląda zupełnie inaczej a ludzie zachowują się nienaturalnie... Sama zachowuję się nienaturalnie...

Pielęgniarka pokiwała głową. - Powiedziałbym, że szanse są małe, ale... medycyna wielokrotnie się pomyliła w takich przypadkach, więc... Proszę mnie zaskoczyć, pani Beato.

- Ale jak? Co? Proszę mi powiedzieć, ale tak normalnie! - Ręce drżały Beacie, ale w ogóle tego nie czuła.

Weszła pielęgniarka bez pukania. - Meloch, Anker wrócił z chemioterapii.

- Dziękuję. Pani wybaczy, muszę iść.

- Ale... Mam wracać na zajęcia czy do domu dziecka? Co się dzieje?!

Beata siedziała na ławce przy sali numer pięć, obok schodów, pod szklaną gablotką wiszącą na hakach.

Uczennica, przekładająca nogi ze zniecierpliwienia, mruknęła:

- W sumie, siedź tutaj. Może poczujesz się lepiej. Ja wracam na zajęcia.

Kroki po schodach cichły w uszach Beaty aż umilkły. Skrzypnięcie odległych drzwi. Cisza. Nienaturalna i niepokojąca cisza.

Beata mówiła do siebie:

- Gdzie jest woźny? Gdzie ochroniarz? Gdzie kamery? To miejsce... Jakby próbowało naśladować moją szkołę, ale mu nie wychodzi. - Uniosła brwi. - Mogę teraz sprawdzić, gdzie się podziało pierwsze piętro.

Pobiegła po schodach do góry. Półpiętro z gazetką. Schody.

Korytarz z fotelem, kanapą, stolikiem do kawy i drewnianymi panelami na ścianie.

- Jest. Zgadza się. Dlaczego nie widziałam tego wcześniej? Cholera... Muszę dokładnie obejrzeć tę szkołę.

Zeszła: schody, półpiętro, schody. Parter. Skręciła ku kolejnym schodom.

- Szatnia. Powinna tu być szat... zaraz...

Na półpiętrze wyrosła żelazna krata z furtką zamkniętą na kłódkę. Beata chwyciła za poskręcane pręty. - Tego tutaj nie było... he?

Wbiegła z powrotem na parter. Wróciła do gablotki przy sali numer pięć. - Plan zajęć. Ale zaraz... Do jakiej klasy chodzę? Która jest godzina? Gdzie... Gdzie mam plecak?! Zegarek?! Co się ze mną dzieje?!?

Padła na kolana. Zaczęła płakać. Łzy kapąły jej na spódnicę z wiskozy.

Dzwonek. Poderwała głowę do góry. - Pokój nauczycielski! Może są tam jeszcze moi dawni nauczyciele! Biegła: schody, półpiętro, schody. Pierwsze piętro. Skręciła w prawo i podbiegła na sam koniec kwadratowego pomieszczenia. Sala numer sto pięć, białe drzwi, czarne cyfry, brązowe wykończenie wokół klamki.

Ale nikt nie podchodził.

Korytarze były półpełne, gwar nie tak głośny, jak powinien być. Nikt nie podchodził do sali, nikt nie wychodził z niej. Beata straciła cierpliwość.

- Dobra, inaczej. Muszę wrócić po plecak. Możliwe, że zostawiłam go w sali na drugim piętrze.

Schody, półpiętro, schody. Lewo, koniec korytarza. Sala numer dwieście osiem.

Zapukała.

- Cholera, nie pukałam do pielęgniarki - Uświadomiła sobie.

- Proszę.

Weszła. Sala była pusta; siedział w niej nauczyciel o przeciętnych rysach.

- Dzień dobry, przepraszam, wróciłam od pielęgniarki...

- Pielęgniarki. Oczywiście. Pani po plecak? Proszę tutaj.

Fioletowy, starty materiał, odbłask w kształcie misia; owszem, Beata miała taki plecak, ale w szkole podstawowej. Postanowiła się nie kłócić.

- Dziękuję.

- Pani jeszcze nie odchodzi, zaraz będzie apel na skrzyżowaniu.

- Na... skrzyżowaniu?

- Tak. Boisko jest rozkopane przez robotników.

- Pan też tam idzie? - Beata zacisnęła dłonie. - Mogę iść z panem?

- Pani poważnie? Jest pani dojrzałą osobą, chyba może pani iść sama...

- Mam zwidy. Potrzebuję kogoś, kto odróżni mi rzeczywistość od wymysłów mojego mózgu.

- To pani nie pomożę. Sam się oswiam z nowymi realiami.

- E... Aha... To ja już pójdę.

- Z tymi ludźmi nie ma sensu rozmawiać. To chyba jakieś NPCe z gry. Simy! Otaczają mnie Simy! To by wyjaśniało znikające piętra: ktoś je sobie później dobudował na pauzie... Co ja pieprzę?

Beata wyszła z budynku liceum i podążała za grupą nieostrzych uczniów wzdłuż ścieżki między krzakami. Chodnik ulicy. W prawo do skrzyżowania.

Było ogromne, bo na każdą stronę jezdni wypadały dwa pasy do skręcania i jeden dla samochodów z naprzeciw albo po pasie i wyspa dla pieszych. W efekcie sam środek skrzyżowania, pole manewrowe, zajmował dziesiątki metrów kwadratowych. Uczniowie stanęli na owym środku. Samochody same się zatrzymały, nie pomagała im policja.

Beata nie zwracała uwagi na głos z megafonu; nawet gdy próbowała zrozumieć treść, słyszała tylko bełkot jak nazwisko uczennicy, która odprowadziła ją do pielęgniarki.

Rozglądała się. Same niewyraźne twarze. - Weźcie Rutinoscorbin - Powiedziała półgłosem, próbując się rozluźnić. Rozejrzała się ponownie.

Zaraz.

Nowa twarz. I to wyraźna.

Wysoki na prawie dwa metry młodzieniec bez włosów, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Widziała dokładnie jego źrenice, nos, krawat na koszuli.

Spojrzał na nią. - Hej.

Dreszcz przeszedł przez jej plecy. - Hej - Odpowiedziała.

- Beata, tak?

- Skąd wiesz?

- Jest napisane.

Zmarszczyła brwi. Spojrzała na siebie i znikąd pojawił się identyfikator z jej tożsamością na lewej stronie.

- Aha.

- Przepraszam, że tak zagaduję obcą osobę...

- Nie szkodzi. Miło mi - Uśmiechnęła się.

- Friedrich jestem.

- O. Nie Fryderyk?

- No cóż, rodzicom zależało, żebym nie był Fryderykiem...

- A. Volksdeutscher? Jeśli jeszcze się używa tego słowa, sorry...

- Urodziłem się w Niemczech. Ale wyprowadziliśmy się.

- Aha.

- Co by tu powiedzieć... Lubię zbierać zioła. Ciekawi mnie, co ty lubisz.

- Koty, szczególnie puchate - Beata podkreśliła swoją wypowiedź gestem przygniatania miękkiej substancji.

Friedrich uniósł brwi. - Coś miękkiego, tak?

- Mhm.

Apel się zakończył. Uczniowie rozeszli się. Friedrich to zauważył. - O. Wybacz.

- Jasne. Do zobaczenia.

Również Beata zeszła ze skrzyżowania.

Rozejrzała się po mieście. - Iść do domu dziecka? Niespecjalnie mi się chce, ale... Co będę robić?

Usiadła na ławce. - Dobra, pomyśl. Skup się. Jechałam na studia, był wypadek... chyba... ale nie pamiętam, żebym była w szpitalu, wcale. A teraz znowu chodzę do liceum? Co to, nowy Ferdurke? Za dużo lektur... Dlaczego znowu chodzę do liceum? Nie wyjaśniono mi. Luki w pamięci? W takim razie, dlaczego apele odbywają się NA JEZDNI?

Opuściła ręce. - To jest sen. Ja śnię. Albo gorzej: umarłam. Nie. Za długo to trwa, żeby to była wizja podczas śmierci. To musi być sen... Śpiączka? Możliwe. Czyli... jeszcze się nie obudziłam. No to... Jak mam się obudzić?

Kiedy Beata znów spojrzała przed siebie, latarnie rozświetlały jakby opuszczoną przestrzeń miejską.

- Już jest noc? Co teraz? Trochę tu chłodno...

Wstała, wyjęła kanapkę z plecaka, sprawdziła jej świeżość, ugryzła kęs i ruszyła w prawo.

Ulica prosta jak drut ciągnęła się w nieskończoność. Beata mijała budynki mieszkalne, których w ogóle nie mogła odróżnić.

Zeszła po schodach. Blaszane drzwi głośno: c@fe 24h.

- Nierealne. Kafejki internetowe w moim mieście wymierają... I nie są całodobowe. Ale dobra, skoro śnię, wolę posiedzieć tutaj.

Pomieszczenie oświetlały tylko blaski monitorów z lat dziewięćdziesiątych. Jeden klient grał w strzelaninę. Beata schyliła się, żeby pracownik jej nie zobaczył. Zaczaiła się tuż przy ladzie, zakradła się do jej rogu, szybko skręciła. Wybrała stanowisko komputerowe, którego nie było widać zza lady. Usiadła na fotelu, zdjęła buty, zgięła kolana, ułożyła stopy na siedzeniu, objęła łydki ramionami, położyła głowę na

kolanach. Szepnęła:

- Odpocznij, Beata, odetchnij...

Ocknęła się przez huk blaszanych drzwi. Opuściła nogi i zerknęła zza monitora.

Jacyś... oficerowie? Granatowe mundury nie przypominały wyglądem niczego, co znalazły lub rozpoznaliby z fotografii.

- Szukamy Josifiasza Melocha.

Zakryła rękoma usta. *Tylko nie to.*

Wymknęła się ku drzwiom po przeciwnej stronie. Tak po prostu; nie widziała ich wcześniej ani nie pomyślała o tym, żeby z nich skorzystać. Otwarte. Wślizgnęła się przez uchylone przejście. Korytarz. Pognęła ku kolejnym drzwiom.

- Muszę go ostrzec.

Wyszła. Niebo nad miastem zakrywały purpurowe kilkumetrowe chorągwie z symbolem kafelkowym, jakby kodem do skanowania iPhonem, tylko czerwono-pomarańczowym.

- Kto to tworzył? - Szepnęła do siebie.

Chowała się za budynkami, krzewami, samochodami. *Wszędzie ci oficerowie.*

- Co to ma być? Za dużo Guberni w liceum? No nie mogę. Albo ta gra mi zaszkodziła, cholerny silnik tafliki kawy...

Dotarła do szkoły. Popędziła do drzwi. Lewo. Sala numer sześć. Za jej drzwiami...

Ławki złożone w jeden stół pełen słodczy, gwiazdy z papieru na tablicy...

- Do pielęgniarskiej... - Wydukała.

Nauczycielka mówiła mimo śpiewu uczniów, który przypominał kolędę. - Pielęgniarskiej. Sala sto dziesięć.

- Przecież to aula...

- Tak pani dziękuje za pomoc? A teraz proszę zamknąć drzwi.

Prawo. Schody. Półpiętro. Schody. Pierwsze piętro. Lewo. Koniec korytarza. Sala numer sto dziesięć. Otworzyła drewniane drzwi z szarpnięciem.

Jest! Twarz nieco bardziej ostra, gęste brwi, włókniak na szyi.

- Panie Meloch! Szukają pana!

- Kto?

- Nie wiem! Granatowi jacyś...

- Proszę się udać do Kopczywika, dołączę.

- Kogo?

Pielęgniarskiej nie odpowiedział. Otworzył tylne drzwi i spokojnie wyszedł.

Beata zbiegła z powrotem na parter. *O żesz!...* Oficerowie już tam byli.

- Panienska z nami.

- Co to, to nie - Burknęła i skręciła w prawo, ku sali gimnastycznej. Tam oprzytomniała. - To przecież sen! Mogę zrobić cokolwiek!

Zza pleców wyciągnęła pistolet. Strzeliła w nogi oficerów. Upewniła się, że jej nie dogonią, po czym wybiegła ze szkoły.

Z ziemi wyrosły megafony. - Poszukiwana Beata Omawska. Poszukiwana Beata Omawska.

Przebiegła po pasach do parku miejskiego. Mijała drzewa iglaste, przeskakiwała nad korzeniami.

Las się nie kończył.

Poszukiwana Beata...

Głos nie cichł. Drzewa się nie kończyły. Traciła oddech. Szła. *Muszę iść. Poruszać się. Przemieszczać.*

Potknęła się. Spojrzała w dół. Kamień pokryty mchem. Cementarz. Odczytała wklęsłe litery: Zbigniew Żęty-Rzelitko. Rok śmierci... ten sam, w którym Beata miała rozpocząć kolejny rok studiów.

- Zaraz... Czy ja... Słyszę, co się dzieje dookoła mnie? I mój mózg interpretuje to, jak chce? Czyli... Ojej, co sobie przypominę, że śnię, to zaraz zapominam i daję się ponieść... Uspokój się. Nikt cię nie goni.

Usiadła przy kamiennej tablicy. - Pewnie zasłyszałam kogoś, kto szukał Melocha i zinterpretowałam to w taki sposób... Ech. To kim jest ten Żęty? Może pacjentem? A sam Meloch... to nie tyle pielęgniarz co... lekarz. I opiekuje się mną. Chyba. Najwyraźniej - Wzięła głęboki oddech. - A kim w takim razie jest Friedrich?

- Panie doktorze, ile to miesięcy?

Ten głos! Odwróciła się. Za drzewem stali Josifiasz i Friedrich.

- To będzie piąty.

- I nikt jej nie odwiedza?

- Matka zrzekła się praw, w ogóle się nie odzywa. Ojciec zmarł, zanim mogła go zobaczyć.

- A ciotki? Wujowie?

- Żadnego kontaktu. Powiem panu, że odwiedza ją tylko pan i jedna wolontariuszka. Ale ta ani słowem się nie odezwie.

- To niedobrze. Trzeba rozmawiać z ludźmi w śpiączce.

- Dlatego miłe mnie zaskoczyło, że pan do niej mówi.

- Ja... nie mam specjalnie, do kogo mówić.

- Jeśli mogę wiedzieć...?

- Matka oślepla po porodzie, spadła ze schodów. Ojciec... To co ja. Tylko gorzej.

- Aha.

- Czuję... że to nie jest moja ostatnia bitwa.

- Potrzebuje pan silnych przyjaciół.

- Wiem. Ale jakoś nie kleją mi się rozmowy. Najchętniej bym milczał.

- Za dużo "Małego Księcia".

- Mówi pan?

- To piękna książka, ale idealistyczna. Nie można jej całkowicie odtworzyć w rzeczywistym świecie.

- Czyli?

- Trzeba rozmawiać. Pomimo trudności. Pomimo bólu.

Za lasem rozciągała się złota plaża. Morze nie roniło ani jednej fali. Nie mogła ujrzeć słońca mimo bezchmurnego nieba.

Odwróciła się. Josifiasz zniknął. Friedrich usiadł na pochylonym drzewie.

- Więc oboje nie mamy nikogo... poza sobą. No ale ile można żyć samemu?

- Ja nie mogę - Odpowiedziała, choć czuła, że treść jej wypowiedzi nie dotrze do niego. - Zaraz gadam sama se sobą, prowadzę dialog ze sobą, wiesz... Ta bardziej realistyczna ja przemawia do rozumu tej fajtłapie, marzycielce...

- Wiem, że powiedziałem, że lubię milczeć. Bo lubię. Ale... Na pewno nie z obcą osobą. Raczej... Jak kogoś poznam i wiem, czego oczekiwać po tej osobie... Wtedy. Uwielbiam ciszę.

- Chyba wiem, o co tobie chodzi.

- Chciałbym... żebyś się obudziła i żebyśmy się poznali, tak... świadomie, przytomnie, wiesz... I moglibyśmy sobie pomilczeć z własnej woli. A nie... w ten sposób, kiedy jesteś nieprzytomna. Czuję się... jak stalker. To nie jest w porządku.

- Mhm...

Friedrich oddalił głowę, zmarszczył brwi. - Od początku mam zwidy... że niby podświadomie mi odpowiadasz.

- Serio? - Spojrzała sobie na ręce; poczuła się wszechmogąca. - Może uda mi się wydostać z tego snu!
- Może... niedługo wyjdiesz z tego.
- Właśnie o tym mówię! Zaczekaj na mnie, znajdę wyjście! Jak w tym filmie, odnajdę drzwi na niebie i wyjdę do reala! Tylko nie zostawiaj mnie!
Podbiegła do brzegu; jednak zaraz się zatrzymała. - To by było zbyt proste. Podejrzewam, że "wyjście" znajduje się gdzie indziej - Zamyśliła się. - Kopczywik! Doktor Meloch wspominał o nim. Pewnie to tylko jego kolejny pacjent, ale może...? Może?
Zawróciła w kierunku miasta. Jednak... Zamiast lasu, przed Beatą stała wysoka wydma.
- Jeszcze tego mi brakowało tutaj.
Piasek osuwał się pod jej butami, ale wspięła się do góry. Za wydumą widziała całe miasto przebite chorągwiami długimi na setki metrów.
- Tylko gdzie tu jest ten Kopczywik...?

Rynek miasta wydawał się Beacie identyczny do tego rzeczywistego. Ratusz, spożywczy, bar... wszystko było na swoim miejscu i we właściwym kształcie.

Po prawej stronie od sklepu spożywczego znajdowały się ciemne drewniane drzwi z dziewiętnastego wieku.

- Coś mi podpowiada, że to może być tutaj.

Otworzyła ciężkie wrota. Rozejrzała się: drewniane, malowane na czerwono schody skręcały w lewo i prowadziły do piętra z dwoma drzwiami. Na jednych z nich widniał napis: "Kopczywiki".

Zapukała. Żadnej odpowiedzi. Nacisnęła klamkę. Drzwi ani drgnęły.

- Przyjdę później.

Lecz kiedy się odwróciła, schody nieoczekiwanie zwężyły się, tworząc długie, cienkie paski stromo opadające w dół. Całość przypominała przepaść górską.

- No tak. Przecież śpię.

Chwyliła się podłogi i próbowała nałożyć stopy na cienkie drewno.

- Albo wiesz co, nie baw się tyle.

Zeskoczyła. W locie wyprostowała prawe ramię i ułożyła dłoń równolegle do podłogi. Zwolniła. Lekko zesła z powietrza.

- Mój własny umysł płata mi figle. Żle. Cokolwiek nie zrobię, on ma gotową kontrę.

Poszła do teatru. Wyczarowała siłą woli bilet i usiadła w piątym rzędzie.

Kobiety w dżinsowych spodniach i spódnicach kpiły z dziewczynki ustylizowanej na zachodnioeuropejską księżniczkę.

- I to jest niby szczyt twoich marzeń?

- Nie... - Próbowała się bronić.

- Jak śmiesz marzyć o księciu na koniu, który wszystko za ciebie zrobi?!

- Powinnaś być niezależna!

- Czemu nie chcesz drugiej księżniczki dla odmiany?

- Albo lepiej: żeńskiego rycerza jak Joanna d'Arc?!

- Albo rządz królestwem sama!

- I naucz się strategii. I gospodarki.

- Zmieniajcie się rolami na co dzień. To nie jest takie trudne!

- Inaczej nikt nie będzie cię szanował!

Wtem nowy głos zabrzmiał zza kurtyny:

- Możecie ją zostawić?

Na scenę wkroczyła czarnoskóra aktorka w dreadach. Kontynuowała:

- To nie jest wasze życie, tylko jej. Wy możecie żyć, jak się wam żywnie podoba, ale nie kierujcie jej życiem, dobrze?

- No wiesz, April... - Kobiety nie były zadowolone.

- Idź, ja z nimi pogadam.

Kurtyna opadła na minutę, po czym znów się podniosła.

Jedna z poprzednich kobiet trzymała się liny i krzyczała:

- Na pomoc! Zaraz spadnę!

Wbiegł mężczyzna.

- No, nie! Co za wstyd, żeby mężczyzna mnie ratował!

Mężczyzna zawołał niewyraźnie czyjeś imię. Wbiegła Turka.

- Pani potrzebuje twojej pomocy - Wyjaśnił.

- Jeszcze gorzej, żeby terrorystka mnie ratowała! - Burknęła kobieta.

- Wybacz. Myślałem, że to feministka; pomyliłem się.

Oboje wyszli, zostawiając kobietę.

Kurtyna.

Trzecie przedstawienie zaczęło się od biegu dwóch kobiet. Jedna spytała drugą:

- To kim zostaniesz, skoro nie poszło tobie na studiach?

- Nie wiem, coś łatwego bym wzięła. Może kasjerkę?

Wtedy za kobietami zaczęły biec inne, formalnie ubrane kobiety, wołające:

- Nie dała mi pani reszty!

- Nie będę tyle płacić!

- Przecież ten bon jest ważny! Musi wejść!

- Jak mam wybrać walutę na tym urządzeniu?

- Przecież miały być "trzy w cenie dwóch"!

- A na czym polega ta nowa oferta?

- Nie mogłam znaleźć żadnego szala z kodem kreskowym, przepraszam.

- A może jednak skorzystam z tej oferty...

- Jest pani o stówę do przodu! Nie dała pani klientom STÓWY!

- Nie wzięłaś zabezpieczeń z szuflady!

- Cofnij się po zapasowe rolki!

- Pokaże pani torbę!

- Tych bonów nie przyjmujemy!

- To jest fałszywka!

- Mamy piątkę w dwunastce! Piątkę w dwunastce!

- Skasuj pizzę jako cebularz.

- To jest bagietka fitness!

W końcu kobiety przestały biegać.

- "Coś łatwego", niech mnie diabli wezmą - Syknęła druga kobieta.

Kurtyna.

Czwarte przedstawienie rozpoczęła dziewczynka z pierwszej sztuki, przebrana w białą-czarną sukienkę z szarymi kokardami.

- Proszę kogoś z publiczności.

Cisza.

- Kogokolwiek.

Beata wstała.

- Tak, pani, zapraszam.

Weszła na scenę. Znikąd pojawiły się cztery drzwi z numerami od lewej do prawej: trzynaście, dwadzie-

ścia trzy, dwadzieścia cztery, dwadzieścia sześć.

- Które mam wybrać? - Zapytała aktorkę.

- Może pani nawet wszystkie.

Sięgnęła po klamkę drzwi numer dwadzieścia cztery. Usłyszała Allegro moderato z drugiego aktu Jeziora łabędziego, zniekształcone, spowolnione, przybierające o dreszcze. Za drzwiami, jak w Doktorze Who, znajdowała się wielka przestrzeń zaprzeczająca prawom fizyki. W przestrzeni tej lewitowały wyrwane głowy lalek z krzywo obciętymi włosami, poplamione krwią ubranka dla dzieci oraz drewniane samochody w ogniu. Na samym środku lewitował wazon z trzema kwiatami, wśród których jeden był ułamany.

- Co to znaczy? - Zapytała Beata.

- W czyimś domu nie będzie słychać śmiechu dziecka - Odpowiedziała oschle aktorka.

Beata otworzyła drzwi numer trzynaście. Za nimi kolejna przestrzeń, tym razem wypełniona dużymi poduszkami. Na dole jakby basen, w którym pływała kanapa. Beata usiadła na kanapie i odepchnęła się od brzegu. Zanurzyła rękę w przyjemnie chłodnej wodzie. Przemyśla twarz.

- A to?

- Otwórz jedną z poduszek - Poradziła dziewczynka.

Sięgnęła po lewitującą czerwoną poduszkę i rozpięła jej zamek. Wydostała z niej... gładki, staromodny vibrator.

- Nadal nie rozumiem.

- Komuś będzie dobrze.

Speszona Beata schowała znalezisko i popłynęła z powrotem na scenę.

Drzwi numer dwadzieścia trzy kryły za sobą pomieszczenie ze ścianami i sufitem, ale bez podłogi. Przepaść nie miała dna. Na ścianach przyklejone były drewniane litery O. Dziesiątki liter O.

- To kontynuacja pokoju trzynastego - Wyjaśniła aktorka.

Zamknęła drzwi. Wreszcie podeszła do wrót numer dwadzieścia sześć. Za nimi znajdowała się ulica, na której leżał brązowowłosy mężczyzna. Podbiegła do niego.

- Czy wszystko w porządku? Halo? Słyszysz mnie pan?

Mężczyzna się obrócił, chwytając się za serce.

- Zawał...

Kiwnął głową. Wtulił się w jej ramiona i opuszczył głowę na jej barku.

- To twój ojciec - Usłyszała aktorkę.

- To niemożliwe. Tata zginął na nartach - Głos jej był coraz cichszy. - Tak mówiły ciotki. Kiedy jeszcze mnie odwiedzały... - Po czym znów zyskiwał na sile. - No racja, to tylko sen, nie musi być... No właśnie!

Zerwała się i odwróciła. Drzwi zniknęły. Została młoda aktorka, ale już przymierzała się do odejścia.

- Szukam Kopczywika. Gdzie go znajdę?

- Kropczewik. Nie znajdziesz go. No, może w kostnicy.

- Kostnicy... Nie, nie pójdę tam.

- A gdzie pójdzie pani?

- Nie wiem. Wiem tylko, że muszę się wydostać. **Chcę** się wydostać. Życ. Doświadczać życia. Boję się... że mnie odłączą...

- Nie boisz się rehabilitacji? Niepełnosprawności?

- Nie.

- Samotności?

- Znajdę kogoś!

Zza budynków wyłoniły się te same aktorki co wcześniej.

- I to jest niby szczyt twoich marzeń?

- Ani trochę. To tylko jeden z moich celów.
- Jak śmiesz marzyć o księciu na koniu...?
- Znam waszą grę! Będziemy razem wszystko robić. Podzielimy się obowiązkami.
- Powinnaś być niezależna!
- Będę! Ale z nim!

Aktorki odsunęły się. - Z kim?

- Z kim...? Chyba miałam na myśli Friedricha...

Oburzone kobiety odwróciły się plecami. - To idź do niego, droga wolna.

Z ulicy Beata przeszła z powrotem na skrzyżowanie przy szkole. Przy budynku stał Josifiasz.

- Doktorze Meloch. Proszę mi pomóc, ja chcę się obudzić.

Doktor nie odpowiedział. Chwyciła się rękawa jego lekarskiego fartucha.

- Ja was słyszę... jak mówicie do mnie. Ale... nic mi to nie daje. Nie wiem, którędy iść. Ja muszę... Muszę żyć! Pragnę tego! Jeść potrawy, spacerować po lesie, rysować szkice, głaskać kota... - Zapłakała.

Josifiasz wyslizgnął się z fartucha i odszedł. Łkając, Beata wdziała ubranie lekarza, podwinęła trochę rękawy, przygładziła materiał i weszła do budynku liceum.

Nikt nie pytał jej o fartuch ani nieobecność. Błądziła po pustych korytarzach, nie mając pojęcia, czego szuka ani gdzie to coś powinno się znajdować.

Przesiedziała długi czas na zajęciach z przysposobienia obronnego, gdzie uczniowie ćwiczyli postępowanie z nieprzytomną, oddychającą osobą.

- Przepraszam - Rzekła wreszcie. - Mogę udawać nieprzytomną?

- Proszę bardzo.

Położyła się na podłodze niedbale, jakby się przewróciła. Czuła, jak ktoś do niej podchodzi.

- Pani Omawska, tak?

Otworzyła oczy. Nie wiedziała, ile czasu minęło, ale było już ciemno. Rozmazany mężczyzna wyglądał na woźnego.

- Powinna pani wyjść.

Wstała i opuściła szkołę. Ale... To nie była jej szkoła. Ceglane korytarze z marmurową podłogą, za oknem żółta ulica, jakby świeżo odmalowana...

- A gdzie ja jestem?

Wyszła i rozejrzała się. Ceglany ratusz oświetlony reflektorami, kamienne chodniki i jezdnie do spacerowania.

- Miałam... tu studiować.

Wtem ludzie rozproszyli się i biegli do zaparkowanych białych autobusów.

- Co się dzieje? - Zapytała.

- Ewakuować pacjentów! - Wrzasnął ktoś.

Wsiadła do autobusu linii numer dwadzieścia sześć. Drugi rząd, naprzeciw wejścia.

- O nie. Tak samo usiadłam tamtego dnia.

- Nieważne jak, po prostu zróbcie coś! - Burknął kierowca.

Postanowiła, że zostanie. Pojazd ruszył za sznurem innych autobusów, lecz wkrótce potem gwałtownie się zatrzymał. Przed nim wezbrała fala brudnej wody.

- Pieprzone wały puściły - Syknął kierowca.

Ach, więc to powódź.

Wycofał się. Autobus przejechał wąską uliczką i wydostał się z centrum miasta.

Dojechała na wzgórze pokryte łąką. Wysiadła. Ujrzała u jego stóp prostokątne pola trawy oddalone od siebie na odległość metra lub więcej. Pochyliła się ostrożnie, by zobaczyć czystą wodę pokrywającą stopy ziemistych prostopadłościaków.

- Tędy.

Nie spojrzała na źródło komendy. Pokręciła głową. Tłum zaczął skakać przez metrowe przerwy. Niektórzy za trzecim razem spadli; inni za czwartym osunęli się z ziemią do wody. Nikt nie dotarł do końca.

- Nie ma mowy, żebym w ogóle próbowała. Idę gdzie indziej.

Weszła na szczyt wzgórza, gdzie wyrosły znikąd kolejne samotne drzwi. Widniał na nich numer dwadzieścia sześć.

- Nie powinnam tam iść.

Rozejrzała się. Kolejne drzwi. Numer dwadzieścia trzy.

- Kontynuacja trzynastego pokoju - Przypomniała sobie. Chwyciła za klamkę.

Czarna nicość. Ale... Wydawało się jej, że pokój zawiera podłogę, tylko czarną. Spróbowała dotknąć przestrzeni dłonią. Zauważyła półprzezroczyste odbicie lustrzane ręki. *Jest! Można tędy iść!* Ostrożnie stanęła i kroczyła przed siebie.

Wtedy wielkie belki runęły w dół. Zasłoniła się fartuchem Josifiasza. O dziwo, ochronił ją. Zrzuciła z siebie belki i poszła dalej.

Kolejne!

Tym razem z ciemności wyłonił się Friedrich i złapał rękoma belki.

- Beato!

- Nie wydurniaj się, zostaw to!

- Wierzę w ciebie! Uda ci się!

Zrozumiała. Pobieгла jak najdalej od drzwi. Ku ciemności.

Ciemność rozstąpiła się i oczom Beaty ukazał się biały sufit.

- Czy to szpital? - Zapytała. Zaraz poczuła, że musi odchrząknąć.

- Tak. Ile pamiętasz?

Zerknęła w lewo. *Friedrich!* Dokładnie taki, jakiego widziała w snach.

- Byłam... w autobusie. Chyba doszło do wypadku.

- Tak. Tak mówili lekarze.

- Gdzie doktor Meloch?

- Skąd znasz jego nazwisko?

- Znam i twoje. Wszystko słyszałam.

- Och.

Podniosła rękę, aby uścisnąć jego dłoń. - Friedrich Anker. Lubisz zioła.

- Tak.

- Beata. Lubię koty.

- Ach. Więc ten lekki uścisk o łóżko...

- Ściszałam łóżko?

- Tak. Materac. Kołdrę. Czekałiśmy, aż wrócisz.

- No, to jestem. Dzięki za cierpliwość.

Uśmiechali się.

Wreszcie przybył i doktor Meloch. Porozmawiali trochę i wyjaśnili parę spraw.

- Zalało nam parter i obawialiśmy się, że woda dojdzie do piętra z pacjentami. Przeniesienie pani nie było łatwe.

- Domyślam się.

- Wtedy też przebudziła się pani po raz pierwszy. Trwało to tylko minutę, może półtorej. Pytała pani o Ankera. Zapewniliśmy panią, że jest bezpieczny, po czym pani zasnęła z powrotem.

- Chyba się domyślam, kiedy to się stało.

- Przebudziła się jeszcze pani drugi raz, na około dwadzieścia minut. A może przebudzała się pani wiele razy w nocy? Nie zauważyliśmy. Ale widać już było, że nadchodzi poprawa. Opowiadała pani o swoich snach. Właściwie tylko o swoich snach. I z powrotem w śpiączkę. Teraz... Wygląda nieźle. To już godzina. Zdziwiałam się pani.
- Chyba nie ostatni raz - Uśmiechnęła się Beata.
- Muszę panią zmartwić.
- Proszę.
- Elementy autobusu przebiły pani organy.
- Nie żołądek, prawda? Ani serce?
- Nie. Narząd rozrodczy.
- Ach... - Pokiwała głową. - Miałam przecucie.
- Tak?
- Że nie będę mogła rodzić dzieci.
- Przykro mi.
- Dam sobie radę z tym. Na pewno dam. Mój własny umysł mi to powiedział.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

AnetaAnton, dodano 17.02.2015 09:28

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.